ROZMAITOŚCI.

Dnia 20. lipca, N:er 29. roku 1844.

Pan Krzysztof.

USTĘP Z NIEWYDANÉJ DOTĄD POWIEŚCI.

...Dalsze tego wieczora naszych pań o strojach i o dzieciach rozmowy, nie zbyt dla nas mężczyzn zabawne, przerwało przybycie nowego gościa, pana Krzysztofa Dołęgi. Zbyt rzadkiemi już się stały u nas podobne, niegdyś pospolite postacie, i wkrótce zupełnie znikną bez powrotu. Rosły człowiek, barczysty, dobrze zbudowany; musiał za młodu być pięknym, bo dziś jeszcze pięknym starcem nazwać go można. Twarz czérstwa, pełna wyrazu, oko żywe, przód głowy osłoniła łysina, z tyłu i na boki równo spadają śnieżne włosy, takiż wąs na końcach w górę podkręcony. Ubior staropolski dodaje powagi. Miał na sobie żupan fiałkowy z bogatą śpinką, kontusz piaskowy, pas lity po kontuszu w kolorze żupana, pałasz u boku na czarnych rapciach. Ruchy szlachetne, sposób rozmawiania i postępowania, ciągła na otaczających uwaga, okazują dawnego dworaka. Na piérwsze wejrzenie dawałem mu nie wiele nad lat 60 wieku; sam nie tai że za dwa lata będzie miał ośmdziesiąt. Musiał dobre wychowanie odebrać, musiał nie mało przez życie czytać, obcowanie z ludźmi dokończyło jego ukształcenia, a wiek podeszły przy siłach fizycznych nie odjął mu ani przytomności ani pamięci; życie zaś na wielkim świecie zostawiło mu grzeczność pełną uszanowania dla kobiet, uprzejmość dla wszystkich i humor jednostajny, nie przykry, chociaż nie wesoły, bo nikt go śmiejącego się nie widział. Urodził się, jak nam powiadał, przy zachodzie panowania Augusta III. Z dziecinnych lat przypomina sobie ucztę, którą ojciec przybyłym w dom konfederatom barskim wyprawił. Zapewne uczta miarę przebrała, zapewne straże nie były rozstawione ostrożnie, bo wielkie zamieszanie sprawiła nagła wieść że kozacy są blisko i już wieś zapalili. Ojciec dosiadł konia i ruszył z konfederatami, matka nic prócz syna opowiadającego nie unosząc, uciekła do lasu. Wróciwszy nazajutrz wieczorem, zastała dom w popiołach, cały majątek zrabowany lub od płomieni pożarty. O ojca śmierci w kilka dni nadeszła wiadomość. Pan Krzysztof dostawszy się w opiekę stryja, był przezeń potém oddany do korpusu kadetów, świéżo wtedy założonego, liczącego tylu znakomitych wychowańców, z których p. Krzysztof już podobno pozostał ostatni. Był późniéj dworzaninem króla, stawał za jego krzesłem podczas uczonych obiadów, jeździł z nim do Kaniowa, przysłuchiwał się obradom czteroletniego sejmu. Za wybuchnieniem wojny udał się do wojska, widział Zieleńce i Dubienkę, był mocno ranny pod Szczekocinami, w bitwie Maciejowickiéj dostał się w niewolę wraz z wodzem. Wróciwszy z niewoli, przesiadywał długo w Puławach. Bez majątku na starość, odwidza dawnych przyjaciół; gdzie mu radzi, dłużéj zabawi; lecz najczęściéj przebywa u dalekiego krewnego, któremu za utrzymanie wypłaca się uprawą ogródka, nadzorem stadniny i stajni, mustrowaniem drobnych synów, i opowiadaniem przez długie zimowe wieczory o dawnych czasach i ludziach.

Jestto człowiek mało mający potrzeb, przestający chętnie na tém co ma, nic nie wymaga, a wszystko przyjmuje wdzięcznie, nie miesza się w cudze sprawy i nie zawadza nikomu. Wiele widział, wiele doświadczył i doznał, wielu znacznym i głośnym

osobom przypatrywał się z bliska; ma więc w swojéj pamięci niewyczerpany zapas wspomnień, opisów, anegdot i rysów charakterystycznych z epoki ciekawéj, nie dawnéj, a przecie w niczém do naszych czasów nie podobnéj. Jego ona tak zajęła, że w niéj dotąd żyć się zdaje. To zatopienie w przeszłości dało mu uniknąć jednéj ze zwykłych przywar podeszłego wieku: on nie gani teraźniejszych czasów i ludzi, bo go mało obchodzą; nie przymawia, nie zrzędzi, tylko gdy znajdzie ochotnych do słuchania, chętnie opowiada, a opowiadanie jego jeszcze jest żywe, malownicze, nie przewlekłe.

Kilka wieczorów bardzo przyjemnie nam zbiegło na słuchaniu opowiadań p. Krzysztofa. »Co to za szkoda,« mówiła raz gospodyni domu, »że te ciekawe podania, którym z taką przysłuchujemy się roskoszą, nie są nigdzie spisane. Czy nie pisałeś nigdy, panieKrzysztofie, swoich pamiętników?« — »Nie, i żałuję żem nie pisał. Czasy, zdarzenia, ludzie i obyczaje, na którem ja patrzył, minęły, a potomność wiernego ich obrazu mieć nie będzie, bo u nas piszą za mało, a ci co piszą dla druku, albo nie byli obojętnymi i bezstronnymi świadkami wydarzeń, które opisują, albo tyle muszą zachować względów, zamilczeń, ostrożności, że rzetelnéj historyi wystawić nie mogą. Ja, jeden z ostatnich zabytków owego czasu, mógłbym pisać rzetelnie. Już dla mnie wszystko przeszło: namiętności, zdania, uprzedzenia, partyje, do których należałem, jak przeciwne, są w przeszłości. Mógłbym na nie patrzyć zimno, wystawiać je bezstronnie, bez uniesień. I ludzie których prawda obraziéby mogła, już nie żyją. Ale dla mnie pisać późno; już i oczy ciągłéj pracy nie zniosą, i głowa. W żywości opowiadania sami ludzie i rzeczy nawijają się na pamięć; urywkowo zdarzenia stają przytomnie; ale gdybym zasiadł i chciał pisać porządnie, czuję że-by się myśli i wspomnienia plątały, i chęci schwycenia wątku nie odpowiedziałyby siły. Starość nie radość. Zostanie jednak po mnie zbiór ciekawszych mów sejmowych, pisemek ulotnych, wiérszyków drukowanych i nie drukowanych, składanych przez życie, które wiek charakteryzują, a których trudno już szukać po innych rękach. Zostają także niektóre moje podania, bo Adolf (to jest imię krewnego u którego p. Krzysztof przebywa) spisuje co ciekawsze z moich opowiadań.«

»P. Krzysztof,« rzekła pani B., »opowiada zdarzenia, opisuje ludzi, a najrzadziéj, i to krótko, wspomina o sobie. Radzibyśmy téż jego historyję usłyszéć. Musi być zajmującym opis życia człowieka, który żyjąc długo, był tylu zdarzeń świadkiem i uczestnikiem.« — »Moja biografija jest krótka,« odpowiedział p. Krzysztof. »Po części znaną wam jest, kochani państwo, skoroście słyszeli o wypadkach, do których należałem, o ludziach, z którymi żyłem. W tak ważnéj epoce, wśród przewalających się jak bałwany rzeki wypadków, historyja pojedyńczego człowieka ginie w ogólnéj, jeźli się nie wzniósł nad innych i nie rozkazywał wypadkom. Jam nigdy możnym ani wsławionym nie był, mną rządził wspólny los, nie ja losem. Byłem w wojsku, alem nie dowodził; byłem takim żołniérzem jak drudzy, dostałem kroku wszędzie, zaglądałem śmierci w oczy bez mrugnienia, alem się nie odznaczył nigdzie. Odwaga na wojnie tak jest w Polaku pospolitą, że nią i chwalić się nie można. — Trzy są jednak ważne w życiu mojém zdarzenia, z których dwa nie przynoszą mi zaszczytu, a przecie je opowiém dla nauki przytomnéj tu młodzieży, która rozwlekłych opisów starca słucha z uwagą, dla tego że jéj prawi o rzeczach ojczystych. Obroczek duchowny niech będzie nagrodą za jéj cierpliwość i pobłażanie. Kochałem się raz w życiu, nie byłem wiernym w miłości, i za to mnie Bóg ukarał, żem został bezżennym i bezdzietnym. Starość się coraz daléj posuwa, niedołężność przychodzi, a ja niémam przychylnéj ręki, coby mnie wsparła, niémam serca, coby dla mnie biło przywiązaniem albo wdzięcznością. Łańcuch pokoleń ciągnący się od stworzenia aż do mnie, zrywa się na mnie. Krewni i przyjaciele wymarli, obcy i obojętny świat mnie otacza. Litość da mi wyżyć do czasu, który mi jest przeznaczony, litość zamknie mi oczy i litość pogrzebie, ale żadna łza mojego grobu nie zrosi.« — I rozpłakał się starzec, i przykro nam było żeśmy te

wspomnienia wywołali, ale on umiejący nad sobą panować, wkrótce się otrząsł z rozczulenia, i przybrawszy znowu twarz zimną, tak mówił daléj:

1.

»Stolica w któréj młodość moją spędziłem, była rozpustną. Wielcy panowie jeżdżąc za granicę, osobliwie do Paryża, razem z powierzchowną ogładą, z mową francuzką i francuzkim ubiorem, przywozili do kraju wiadomości, których w nim nabyć nie było można, ale téż i obyczaje zepsutego dworu, i wygodną filozofiję, która albo jawnie szydziła z tego wszystkiego, w co nasi przodkowie wierzyli, albo pokrywając się płaszczykiem pobożności, pod nim wszystkiego się dopuszczała. Ta zaraza ogarnęła wyższe stany tém łatwiéj, że i król bezżenny i jego bracia nie dawali z siebie dobrego przykładu.

Dworak, wcześniem na te przykłady patrzył, wcześnie je polubił. Byłem chłopiec przystojny, suknia dworska dawała przystęp wszędzie, a choć nie miałem majątku, król opatrywał potrzeby, a gościnność i rozrzutność możnych ułatwiała życie wygodne i wesołe. Mimo smutnego położenia kraju, mimo niezgod i strat publicznych, mimo chmur coraz bardziéj zasępiających horyzont, bawili się wszyscy, szaleli wszyscy— i jam się bawił, i jam szalał. Tum bałamucił poczciwemu rzemieślnikowi żonę, matkę drobnych dzieci, tu wdowie biédnéj uwiódł jedynaczkę córkę, tu wielka pani przypuściła mnie do swoich nietrwałych względów, tu utrzymywana przez bogacza aktorka, jego przez jedne drzwi się pozbywszy, mnie drugiémi wpuszczała. Latało się z kwiatka na kwiatek, trwoniło uczucie i zdrowie. To była rozpusta, nie miłość, choć się jéj zwykle dawało to szanowne imię; — dziś jéj go dać nie mogę, równie jak go dać nie mogę temu występnemu uczuciu, o którém poźniéj usłyszycie. Powtarzam więc żem kochał raz w życiu, ale po spędzonych najlepszych latach w rozpuście, nie byłem godzien się kochać.

Cnota i skromność, wygnane z pałaców wraz ze staropolskiémi obyczajami, przylgnęły były do drewnianych pod strzechą mieszkań szlachty. Już i u szlachty niektóréj można było postrzegać wpływ zepsucia i ubiegania się o łaski dworu, i przez względy którego z możnych, o pensyje obcego rządu; ale takie domy już się odznaczały wykwintniejszém nad majątek życiem, większą wystawą w mieszkaniu, ubiorze i kuchni, a nadewszystko guwernantką francuzką dla dzieci. — Gdzie zaś w piérwszéj izbie zastałeś stół nakryty kobiercem, na stole dawne flasze z miodem, w około na drewnianych zydlach, kwestarza obok starego wojskowego o szczudle, a na szarym końcu kilku uboższéj szlachty, pod oknem panią w kornecie ze skrzydełkami i dezabilce u krosien, haftującą ornat do kościoła, przy niéj na taboretach córki ze spuszczonémi w robotę oczyma, — w alkiérzu łóżko podwójne, kropielniczkę i obraz matki bożéj częstochowskiéj, a za tym w nieopalanym pokoiku skromne panien łóżeczka, — gdzie pan wsiadając na konia, poły od żupana przez kieszenie wywijał i wąsa pokręcał, a pani miała dwie ciężkie lyońskie suknie wyprawne, które na przemian wdziéwała jadąc na odpust albo na wesele,— gdzie cię na dziedzińcu opadły charty i ogary myśliwskie, od których pachołek obronił, w sieniach dziadek resztę pańskiego obiadu mrucząc pacierze dojadał, ściany zdobiły rogi jelenie i wieńce kłosów, a w pokoju cię przywitało dawne: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — tam pewnym być mógłeś że zamieszkała bogobojność, i obok uprzejméj, czasem zbytniéj gościnności, statek i skromność.

Miała i taka szlachta swoje przywary. Bity od ojca i dyrektrora w domu, bity w szkołach i przez marszałka u dworu, bił szlachcic nawzajem swoją czeladź i chłopców, ale więcéj za obrazę pana Boga jak za krzywdę sobie zrządzoną. W nieurodzaj chłopków zapomógł, w potrzebie radził, w chorobie ratował. Więcéj pilnował polowania jak roli, jeździł na sądy i pieniał się zawzięcie, huczał na sejmiku, łatwo się zapalał i rąbał, ale jeszcze łatwiéj się godził i uraz zapominał. Gotów był każdego czasu wszystko poświęcić ojczyźnie, gotów dać się zabić za wiarę, ale jałmużnę otrzymał zarówno ubogi żyd i syzmatyk jak katolik.

Czasem napadł i kazał przerąbać las nienawistnemu sąsiadowi, albo mu wodę ze stawu upuścić, ale jeźli znalazł opor, choć słabszy, więzić i kaléczyć nie pozwalał. Upił się z przyjacielem, ale nie skłamał nigdy, słowa zawsze dotrzymał, cudzego sobie nie przywłaszczył. Dla żony był wiernym, nawet po pijanemu grzecznym i łagodnym, dzieciom nie pobłażał ale je kochał, skromności córek strzegł jak oka w głowie. Jego żona w lecie doglądała plewiaczek, w zimie prządek; łatwo wpadała w gniew, ale wtedy zaczynała mówić pacierz głośno, aby ochłonąć. Mówić lubiła, ale nie obmawiała nikogo. Ozdabiała kościoły, żywiła i okrywała potrzebnych, nosiła lekarstwa chorym; opatrywała rany, wychowywała ubogie panienki. Te równie jak córki, równie jak dziéwki służebne, krótko trzymała i wyposażyła za mąż wydając. Sama poszła za mąż za wolą rodziców i męża przed zaręczynami nie znała, ale poszedłszy przywiązała się do niego, widząc go dla siebie dobrym, innego nie znała, była mu całe życie wierną towarzyszką i przyjaciółką uległą. Nigdy myśl oszukania go lub cokolwiek przed nim zatajenia, nigdy chęć jego chęci przeciwna, w niéj nie postała.

W kampanii 1792. r. w liczbie nieprzyjacielowi równi, pałający chęcią bitwy, musieliśmy z Ukrainy aż do Buga ciągle ustępować według nadsyłanych nam rozkazów, i wypuszczać z rąk sposobność zwycięztwa. Chciał nieprzyjaciel nas zatrzymać pod Dubienką; odparliśmy go ze stratą mimo przeważającéj siły, bo korpusy których połączeniu mogliśmy wprzód byli przeszkodzić, już się były połączyły. Tam dostałem kontuzyję w nogę. Wsadzono mnie na wóz, i wieziono za wojskiem. Nieprzyjaciel słabo nacierał; nam się cofać coraz daléj kazano. Jak z tamtéj tak i z téj strony Bugu nie było pomimo tych nakazów nic przygotowano na nasze przyjęcie. W nagłym pochodzie żołniérz potracił obówie, konie podkowy; nie było ani czém złych strat nagrodzić, ani żywności, ani potrzeb dla chorych i rannych. Żyliśmy z tego, co gorliwość obywatelska dostarczyła nam na prędce, a to nawet, jeźli się cokolwiek w dostawie spóźniło, idący za nami nieprzyjaciel zabiérał. Pomimo ubywających sił naszych, wojsko pragnęło boju. Wodzowie z rozpaczą w sercu musieli się do rozkazów stosować i zapał wojska powściągać. W Markuszowie zastała nas wiadomość że się król połączył z konfederacyją targowicką i razem rozkaz zaprzestania nieprzyjacielskich kroków. Trudno sobie wystawić rozpacz, z którą żołniérz porzucał chorągwie. Jedni wybuchali w głośne złorzeczenia, drudzy łamali przed oczyma wodzów broń nieużyteczną. I wodzów serca były równo zakrwawione. Wszystko się rozwiązało, każdy oddalał się w swoją stronę. Mnie niewygody podróży, brak opatrzenia, często doznawany piérwszych potrzeb niedostatek, nakoniec wspólna wszystkim zgryzota z tak smutnego końca wyprawy, wpędziły w niszczącą gorączkę, w któréj mnie obaczywszy jenerał Karwicki, użalił się abym w takim stanie nie wpadł w ręce nieprzyjacielskie, opatrzył w powóz wygodny i odesłał mnie o mil kilkanaście bliżéj granicy galicyjskiéj do swego przyjaciela cześnika grabowieckiego, w którego domu spodziewał się że znajdę przyzwoite starania i będę mógł w potrzebie się ukrywać.

Tu znalazłem jeden z tych domów szlacheckich wyżéj opisanych. Prosto z powozu zaniesiono mnie do wygodnéj izdebki w oficynie. Gospodarz przyszedł mi powiedzieć, że polecony od jen. Karwickiego, jestem miłym w jego domu gościem, i że mi na niczém zbywać nie będzie, a widząc że odzież i bielizna ze mnie opadały, kazał najprzód przygotować kąpiel ciepłą, przysłał bieliznę i pościel, potém rosół na posiłek. Wieczorem krawiec żydek przyszedł wziąć mi miarę na suknie. Piérwszy raz po ruszeniu z Ukrainy zasnąłem wygodnie, spokojnie i smaczno. Rano obudziło mnie szczekanie psów, trąbka myśliwska i głos donośny cześnika, który po zwołaniu psów, po daniu hasła do pochodu, wsiadając na koń zaczął śpiewać godzinki. Tak prawie codzień bywało. Cześnik odwidzał mnie codzień, ale krótko u mnie bawił, bo go łowy albo gospodarstwo w pole wołały. Byłem oddany staraniom panny łowczanki sandomierskiéj, osoby podeszłéj w wieku, która o wszystkich potrzebach moich pamiętała z macierzyńską

troskliwością, a chcąc mnie bawić, siadywała godzinami nademną, wypytywała o odbytą wyprawę, o stolicę, o dwór królewski, lecz daleko częściéj, aby nie trudzić moich osłabionych piersi, mnie opowiadała swój rodowód, albo dzieje swoich licznych wielbicieli, którzy się za nią rąbali, strzélali i zabijali; i właśnie że ten, który jéj był miłym, został w pojedynku zabitym, nie chciała już dać ręki żadnemu. Może być że z razu miała chęć wpisać i mnie w liczbę swoich wielbicieli, ale czy obliczywszy się tajemnie z latami, straciła już nadzieję podbijania, czy wzrok jéj doświadczony dostrzegł moją nieczułość na wszystkie jéj wdzięków i przymileń pociski, zdaje się, że z téj strony nic sobie nie obiecując, dla zabicia nudów życia samotnego, dla zatrudnienia czémkolwiek jałowéj myśli, inne powzięła na mnie widoki. Od niéj dowiedziałem się że p. cześnik Grabowiecki od niedawna był wdowcem i miał córkę jedynaczkę, rzadkiéj piękności i cudnych obyczajów, swego całego majątku dziedziczkę. Odtąd rzadziéj o sobie a częściéj o cześnikównie mi prawiła, i mogła uważać, żem ja też słuchał ją chętniéj.

Gdym zaczął podnosić się z łóżka, postrzegłem kilka razy przez okno cześnikównę, to dającą ubogiemu jałmużnę, to idącą do kościoła, to polewającą kwiatki przed oknami swego pokoju. Pochwały jéj, jakkolwiek w ustach łowczanki przesadzone mi się wprzód wydawały, były słabym tylko cieniem przy blasku rzeczywistości. — Słynie zawsze Warszawa pięknością swoich kobiét, témbardziéj w owych czasach za króla płci pięknéj wielbiciela i znawcy słynęła. Ale tak pięknéj jak cześnikówna blondynki, tak zachwycającéj regularnéj twarzy, takiego pokoju w dużych, błękitnych, gęstémi rzęsami przyćmionych oczach, tak miłego uśmiechu, tak utoczonéj kształtnie kibici przy szlachetnych i niewymuszonych ruchach, przy śnieżnéj białości, okraszonéj rumieńcem i odbijającéj od szat żałobnych, tyle razem połączonych najrzadszych wdzięków, nigdy mi się widziéć nie zdarzyło, i od chwili w któréj ją piérwszy raz ujrzałem, nie odchodziłem od okna. Musiała to postrzedz przy schyłku dnia piérwszego, bo już w drugim wychylała się rzadziéj. Można więc sobie wyobrazić, z jakiém upragnieniem wyglądałem chwili, w któréjbym więzienie mojéj izdebki mógł opuścić.

Kiedy mnie po raz piérwszy cześnik do swego pokoju wprowadził, wstała cześnikówna od krosien, ojciec mnie jéj przedstawił, odpowiedziała na mój ukłon uprzejmym ukłonem; gdym podniósł oczy, widziałem zimną obojętność w jéj twarzy, ale wkrótce zdawało mi się że widok bladości méj twarzy, widok niepewnych kroków które jeszcze stawiałem, obudził w niéj litość, i z pośpiechem wskazała mi krzesło z poręczami do siedzenia. Usiadłem od okna, aby się jéj lepiéj przypatrywać. Wróciła do swéj roboty, od któréj już nie odwracała oczu, ale toczącéj się rozmowie zdawała się przysłuchiwać z uwagą. Rozumié się że cześnik szczegółów naszéj wyprawy i odroczonego przed rokiem sejmu, łowczanka obrazu dworu była ciekawa. Myślałem że niewieściéj ciekawości najlepiéj dogodzę mówiąc o strojach i ostatnich, przed moim odjazdem, warszawskich modach, gdym usłyszał stłumione westchnienie, które się mówić do mnie zdawało: Mnie prawisz o strojach; patrz na moje czarne zasłony, do których nawet róży polnéj przypiąć nie mogę. — Zmieniłem więc przedmiot, przechodząc do obozu, do walecznych czynów naszego wojska, do rozdziérającego obrazu naszego pożegnania w Markuszowie, a potém łagodząc wrażenia, mówiłem o podnoszeniu się stolicy, o powstającéj literaturze, o naszych uczonych, o jedności, świetle i poświęceniu długiego sejmu. Ożywiony bliskością anioła, zapomniałem cierpień moich, mówiłem z zapałem. Postrzegłem rosnące wzruszenie w twarzy cześnikówny. Błękitne oczy podniosły się niekiedy i spoczęły na moich. Zmęczyłem się długiém i żywém opowiadaniem, cześnik mnie odtąd zastąpił, opisywał mi dzieje konfederacyi barskiéj, swoje przejście po jéj rozwiązaniu z obozowego życia do palestrańskiego, i obroty lubelskiego trybunału. Tyle go słuchałem, ile grzeczność i potrzeba przymówienia się niekiedy, wymagały, oczy moje i uwaga były na jego córkę zwrócone. Śmielsza przy schyłku dnia, odezwała się parę razy przytomnie, a głos jéj wnikał do serca. Byłem już piérwszego dnia zakochany. Przepędziłem noc bezsenną w słodkich marzeniach na jawie. Nie było to owe upojenie zmysłów, ów słodki niepokój, któregom tyle razy przedtém doznawał. Owszém zmysły były uspione, a w duszy czułem rozlaną taką słodycz, jaką przynosi powiew wiosny, piérwszy promyk słońca po długiéj słocie, sen po wielkiém utrudzeniu, albo powrót chorego do zdrowia, a przytém taką spokojność, jakiéj tylko po dobrym czynie doznajemy. Kochałem po raz piérwszy, — niestety i ostatni! —

Stan duszy tak wpływa na ciało, a ja tak byłem szczęśliwy, że powrót mój do sił i zdrowia postępywał prędko. Wolno mi było dni całe przepędzać w pokoju. Cześnik niekiedy się oddalał, ale łowczanka była nieodstępną.

Nieśmiałość cześnikówny ustąpiła w dłuższém obcowaniu; zaczęła rozmawiać, dusza jéj malowała się w każdém słowie. Była to dusza anioła. Dziecię nowonarodzone nie jest niewinniejszém, źródło niezmęcone, na którego dnie policzysz ziarnka piasku, nie jest czystszém, niebo bez chmur odbijające się w błękicie jéj oczu, nie jest jaśniejszém od myśli i uczuć w jéj łonie. Nie była to zaś owa nieświadoma wieśniaczka, za jaką ją wziąłem z początku. Cześnikówna pracowała nad swojém ukształceniem, znała naszych najlepszych dawnych i świeżych pisarzy, i na ich wzorach ćwiczyła się w stylu. Udając chęć zajęcia czémkolwiek moich godzin w próżnowaniu pędzonych, prosiłem ojca aby pozwolił jéj dawać naukę francuzkiego języka. Cześnik, czy obawiając się między nami rozmów w języku sobie i towarzyszce nieznajomym, czy szczéry nieprzyjaciel cudzoziemczyzny, odmówił pozwolenia. »Moja córka,« mówił, »nie będzie mieszkać w obcych krajach; języki obce jéj nie potrzebne. Dobrze że ma do nauk ochotę; ale dzięki Bogu mnożą się z każdym dniem dobre pisma w mowie ojczystéj. Dość z niéj aby te przeczytała i umiała co się w nich znajduje. Jak jéj nie daję czytać Węgierskiego, tak i waszego bezbożnego Woltera i przesadnego Russa czytać jéj nie dam.« — Ten mały zawód w moich układach wynagrodził mi w kilka dni potém przypadek. Łowczanka przychodząc do roboty, zapomniała przynieść z sobą okulary. Oddalić się nie mogła gdym ja nadszedł, bez zostawienia nas samych, bo cześnika w pokoju nie było; wypadało jéj posłużyć i cześnikównę w tém uprzedzić. Wszedłszy po okulary do pokoju w którym stały obiedwie, postrzegłem gitarę na ścianie. Cześnikówna śpiewała — i ja miałem głos nie zły. Ileż odtąd godzin uroczych sprawił nam śpiew!

Byłem już tyle silniejszy żem mógł wychodzić i towarzyszyć paniom na przechadzkę. Piérwszego święta nie mogłem zostać w domu, gdy szły do kościoła. Dom cześnika był pobożny. Wiedziałem od piérwszego wstępu, że mi nie wypada wymówić się z niczém, coby prawowierność moją mogło podać w podejrzenie. Nie spodziéwałem się jednak téj w sobie zmiany, któréj doznałem za tą piérwszą bytnością w kościele, dawno przeze mnie nie odwidzanym. Miłość czysta, którąm pałał, robiła mnie przystępnym do wszelkich uczuć szlachetnych i wzniosłych. Ta zapewne, i widok niezmyślonéj pobożności cześnikówny, więcéj niż wiejski organ chrypliwy, niż stłumiony głos starca kapłana i fałszywy śpiew kościelnego, wzniecały we mnie wzruszenie, żem się modlił tak szczérze i gorąco, jak niegdyś przy matce w dzieciństwie, i większy jeszcze jak dotąd pokój wstąpił do duszy, i zdawało mi się że tak na zawsze zostanę pobożnym, odmienię życie, będę godnym serca cześnikówny. Moje życie roztrzepane i zmysłowe, moje wesołe grzéchy, stanęły mi w pamięci, obnażone z tych ponęt, z tego zwodniczego połysku, które im dawała młodość niedoświadczona i przykłady zepsutego świata. Wyszedłem z kościoła ze szczérém i, jak mi się zdawało, niewzruszoném postanowieniem zupełnéj poprawy.

W powrocie przez wieś do domu, psy włościańskie nas opadły. Zasłaniając panie i cześnika, zwróciłem się ku nim, gdy jeden kundys ogromny przypadłszy z tyłu, rzucił się na mnie. Nim ludzie idący za nami przybyli mi w pomoc i psy odegnali, byłem ukąszony. Spojrzałem na cześnikównę: zbladła i drżała na całém ciele. W porywczości piérwszéj chwili wziąłem to zmieszanie za dowód udziału dla siebie, ale wnet zimniejsza rozwaga dała mi poznać, że kogokolwiekby spotkał podobny przypadek, czułość jéj byłaby równie wzruszoną. Najmniejsza dotąd oznaka nie dała mi poznać, że cześnikówna moje uczucia podziela. Jeden pomysł rodzi ich tysiące. Raz zbity rozwagą z górnego lotu moich nadziei, zacząłem o tém przemyślać. I cóż, mówiłem do siebie, daje mi prawo do jéj wzajemności? Jakież zasługi, jakie zalety mogą w jéj oczach nadawać mi cenę? Czy ta powierzchowna ogłada salonowa, do któréj ona w swojéj wieśniaczéj prostocie nie przywiązuje wartości? Czy ta wojenna sława, którą podzielam z tysiącami innych? Rozpustnik i próżniak, żadnym nie zalecony czynem, gdzież znajdę tę godową szatę, w któréjbym stanąć mógł przed nią i powiedzieć: »Bądź moją!« — A gdybym nawet zajął jéj serce, wniósłbym doń tylko niepokój i żałość, zatrułbym to życie przeznaczone do szczęścia, do którego tyle ma prawa, ściągnąłbym tego anioła z nieba i strącił w przepaść cierpień, bo niepodobna ażeby ojciec na związek ze mną pozwolił. Towarzysz rozwiązanego wojska, bez majątku, bez własnego dachu, bez widoków na przyszłość, mogęż podnieść oczy do dziedziczki zamożnego szlachcica, który pewnie dla niéj najświetniejsze układa zamysły? — A ona tak ojca kocha, że wolałaby umrzeć, jak na chwilę nieposłuszeństwem go zasmucić. O, póki nie zmęcony pokój téj duszy, póki to serce jeszcze spokojne i zimne, uciekaj od niéj!

Uciekaj! — Snadno to sobie powiedzieć, wykonać trudno. Układałem codzień zamysły odjazdu, a oderwać się z tego miejsca nie mo-

em. Ale rozpacz mną miotała; w obecności cześnikówny nie śmiałem oczu podnieść, nie śmiałem spojrzeniem, słowem, czynem zdradzić mojej miłości; ten przymus mnie dręczył. Ona ponure moje milczenie przypisywała powrotowi słabości, i wpadła sama w posępność. To już nie była owa litość powszednia, równa dla wszystkich. Częste zamyślenie, robota raz wlekąca się powoli, drugi raz przyspieszana z roztargnieniem, wzrok wlepiony we mnie, ile razy jéj się zdawało że tego nie postrzegam, ustępujące z twarzy rumieńce, wykradające się poniewolnie z piersi westchnienia, wskazywały widocznie wewnętrzne cierpienie, mojemu odpowiadające cierpieniu,— a skoro z tém odkryciem, nadzieja i szczęście wstąpiły we mnie i rozlały radość po mojéj twarzy, i jéj twarz zajaśniała weselem. Mogłem wierzyć, żem obojetnym jéj niebył.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 29. i obejmuje: 1) Uwagi dla panów ekonomów nad płytkiem i głębszem oraniem i nad stosownem użyciem obornika w obu tych przypadkach. 2) Niezawodny sposób przeciw szerzeniu się ospy owczej. 3) O zimowym grochu (*lathyrus cicera*) w Hohenheimie. 4) O pielęgnowaniu jarzębiny, w celu utrzymania i pomnożenia ptactwa żywiącego się owadami. 5) O moczeniu lnu.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Nr. 15. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Szkic z czasów króla Stanisława Augusta, przez Adama Gorczyńskiego. 2) Żal narzeczonej, dumka Fr. Wal...... 3) Miłość zdradzona. (Dokończenie.) 4) Teatr. 5) Nowości literackie.

Z Warszawy. *Biblioteka Warszawska* na miesiąc maj zawiera następujące artykuły: 1) O temperaturze źródeł tatrowych i pasm przyległych, przez Ludwika Zeisznera. 2) Pieśni ludu na północy, wyjątek z dzieła Ks. Marmier, przez Leona Potockiego. (Dokończenie.) 3) Krótki rys historyi alchemii ułożony według Schmiedera, przez J. B. Dziekońskiego. (Ciąg dalszy.) 4) Jan Hieronim. Rok 1655 — 1657, przez Kazimierza Wojcickiego. 5) Poezyja: *Sit tibi terra levis*, przez Ludwika Norwida. — Urywek z poematu: Step;, przez Gustawa Zielińskiego. 6) Rozmaitości. 7) Kronika literacka. 8) Kronika zagraniczna. 9) Kronika bibliograficzna. 10) Doniesienia literackie. 11) Dostrzeżenia meteorologiczne w obserwatoryjum warszawskiém za miesiąc marzec 1844.

Skarby Anglii. Finansy Anglii są rzeczywiście olbrzymie; przyczém i nato jeszcze uważać należy, że w jednym funcie ang. mieści się prawie 40 zł. pol. Do r. 1815 wydała Anglija prawie millijonową kopę takich funtów na subsydyje wojenne a pół kopy na same wojny z Napoleonem. Dwadzieścia millijonów zapłaciła za wyzwolenie afrykańskich niewolników w swoich osadach, czterma millijonami zatarła szczérb poniesiony w Kabulu, corocznie prawie poświęca millijon na zniżenie opłaty od przesyłania listów; posiada budżet sześćdziesięciu millijonów, a ma tyle długów, że wszystkiemi pieniądzmi z mennic całej kuli ziemskiej, uiścić by się z nich nie mogła. A przecież dług ten wynoszący 800 millijonów dałby się zaspokoić, gdyby tylko Anglicy w przeciągu lat czterech chcieli i mogli poświęcić swoje dochody ku temu celowi. Bo czemu by nikt nie dał wiary, okazało się z taxy przychodów, że pracowity i przemysłowy naród angielski zarabia rocznie 200 millijonów funtów, z czego tylko niektórzy bądź wygodnie bądź też wystawnie żyją. — Ośm tysięcy millijonów zł. pol. rocznego dochodu, piękny to mająteczek!

Nowy budynek giełdy w Londynie, lubo już prawie ukończony, ma być dopiero w miesiącu wrześniu b. r. uroczyście otwartym, gdyż stan kupiecki życzy sobie, ażeby królowa Wiktoryja sama tę ceremoniję odprawiła, co dopiéro po połogu jéj królewskiej mości stać się może. Zégar na wieży tego budynku, ma być przez sławnego chronometrzystę Dent tak doskonale wypracowanym, iż uchodzi za piérwszy w całej Anglii. Pan Dent zwidził umyślnie Bruxellę, aby się przypatrzyć tamtejszéj dzwonowéj machinie rozmaite pienia wygrywającéj, podług któréj, podobną téż machinę, złożoną z 15 dzwonów, sporządził dla wieży giełdy londyńskiej. Narząd téj machiny jest już zupełnie ukończony i ma być zadziwiającem arcydziełem mechaniki. Najcięższy dzwon waży 22, najlżejszy 5 cetnarów. Samo wahadło zegaru waży 4 cetnary, ma 16 stop długości i kołysze się w przeciągu 2 sekund.

Piorun z ziemi. Podług doniesień francuzkich dzienników został w nocy, z dnia 11. na 12. czerwca, powóz publiczny, jadący z Paryża do Clermontu, rzucony przez piorun w pole, które szérokim rowem i 3 stopy wysoką tamą było od gościńca przedzielone. Przeto jednak powóz się nie wywrócił a siedzący wewnątrz podróżni nie uczuli żadnego uderzenia ani jakiejkolwiek dolegliwości; wielka tylko dziura w spodzie powozu i mocny zapach siarki świadczyły o przeniknieniu elektrycznego płynu. To przez wiele osób stwierdzone zdarzenie jest nowym dowodem teoryi bicia piorunów z ziemi. P. Arago przytacza drugi podobny przykład. Roku 1787 poraził piorun dwóch ludzi, którzy się pod drzewo schronili; konie ich zostały podrzucone do góry, a jedną podkowę znaleziono na najwyższej gałęzi. (?)

Niepotrzebna obawa przebudzenia się w grobie. Piérwszym warunkiem przebudzenia się z pozornej śmierci jest przystęp świéżego powietrza; takiego zaś, jak w ogólności prawie żadnego, niema już w głębi trzech łokci pod ziemią. Każdy zdrowy człowiek musiałby się tam natychmiast zadusić; w jakiż więc sposób mogłaby się słaba iskierka życia nanowo zbudzić? Podług wszelkich fizykalnych i fizyjologicznych praw oddechania i własności powietrza, jest takie przebudzenie się niepodobnem; tem jednak większych pochwał godna jest troskliwość zakładów publicznych, które — o ile taka pozorna śmierć istotnie zdarzyćby się mogła — usiłują ułatwić przebudzenie się z téjże przez budowanie stosownych trupiarni, staranne opatrywanie trupów i inne zaradcze środki.

Człowiek mający półtora stulecia wieku żyje dotąd w okolicy miasta Grenoble. Urodził on się w roku 1695, i był już w swoim 14. roku w bitwie pod Malplaquet r. 1709; w uwczesném bowiem krytycznem położeniu Francyi nie zważano wcale na zbytnią młodość. Przeżył więc burzliwe czasy wielkiego króla, panowania Ludwika XV. i XVI., rzeczypospolitej, dyrektoryjatu, konsulatu, cesarstwa, restauracyi i jest obecnie świadkiem rozwijania się rewolucyi lipcowéj. Któraż pisana książka może się równać takiéj żyjącéj księdze, — jakież zebrane podania mogą iść na wagę z takiém mówiącem podaniem?

Drzewo Bogah. Półkownik Campbell w opisie swojéj podróży po wyspie Ceylon opowiada: »W drodze do Colombo ujrzałem najpiękniejsze drzewo Bo-

gah, jakie się na wyspie Ceylon i zapewne na całej ziemi znajduje. Nie przesadzam twierdząc iż pod jego gałęziami może się zmieścić 10,000 wojska w ściśnionéj kolumnie ustawionego. Te przepyszne drzewa uważają zwolennicy Buddhy za święte, gdy bowiem wspomniony Bóg zstąpił na wyspę Ceylon, usiadł sobie pod drzewem Bogah.« Każdy kto takie drzewo zaszczepi, idzie jak buddyści twierdzą, prosto do nieba. Drzewa bogahowego nie używa się nigdy na jakikolwiek materyjał, gdyż jest grzechem, dotykać świętego pnia siekierą.

Po chińsku. Wszystko w Londynie ma teraz być po chińsku. Są wielkie fabryki w których się krzesła, stoły, zasłony kominkowe, szafy, podstawki do herbaty, wszystko w kształtach chińskich wyrabia, i jeźli tylko można, widokami chińskich miast, świątyń, ogrodów i pałaców przyozdabia. Ta namiętność posuwa się tak dalece że podobne pojedyńcze sprzęty bywają po 40 gwinejów opłacane. Niektórzy utrzymują, że te wszystkie rzeczy są z *papier-mâché* sporządzone. Eleganci nie noszą przy swoich sukniach do polowania innych guzików, jak tylko takie, na których chińskie psy lub chińskie ptaki są wyobrażone. Każdy zaś guzik idzie na wagę złota i kosztuje 5—10 szyllingów,— to jest około 15 zł. pol.! Rozumie się samo z siebie, że damy nie chcą nosić żadnych innych materyj jak tylko Czusanowe, nankinowe i tym podobne.

Osznst w łapce. W Wilnie zdarzył się przed niedawnym czasem następujący wypadek: Pewien Żyd otworzył złodziejskim sposobem szkatułkę z pieniądzmi jednego podróżnika, zrobił spis znajdujących się tam rzeczy, włożył zamiast papierów podróżnika, inne na swoje imię wydane, i udał się potém do sądu aby żądać zwrócenia mu téj szkatułki jako jego własności. Sąd uznał zagrabioną szkatułkę za własność Żyda, a prawy właściciel został wtrącony do więzienia. Ledwie się to jednak stało, każe uwięziony podróżnik prosić Żyda do siebie, oświadcza mu iż gwałtowne interesa zmuszają go koniecznie do spiesznego ztąd wyjazdu, który gdyby mu Żyd chciał ułatwić, zrzekłby się chętnie szkatułki. Żyd przyzwala nato, ułatwia ucieczkę uwięzionemu, i cieszy się swoją sprawką. Wtém wołają go jeszcze téj samej nocy do sądu, gdzie zamiast spodziewanej szkatułki otrzymuje tęgą chłostę. Na spodzie szkatułki bowiem, w pewnym tajemnym schowku, odkrył sąd mnóstwo fałszowanych assygnatów i kazał przytrzymać Żyda. Będzie więc musiał nieborak pójść zamiast istotnego fałszerza na Syberyję, jeźli jeszcze przeżyje śledztwo, które z nim natychmiast w celu wykrycia sprawcy tych fałszywych papierów rozpoczęto.

Grzeczność żeglarska. W Rochefort zdarzył się niedawno wypadek, który bardzo trafnie charakter francuzkich żeglarzy maluje. Pewien majtek, będąc za jakieś przestępstwo przez żandarma ścigany, skoczył, dla ujścia swemu prześladowcy, z wału twierdzy na esplanadę, lecz i żandarm rzucił się za nim i miał go już dopędzić. Nadbiegają nad fosę która była zalana wodą. Lekko ubrany majtek przeskakuje z łatwością; żandarm zaś, nie rozpędziwszy sie dostatecznie, pada w fosę. Co postrzegłszy majtek, staje, wraca się i pomaga biednemu żandarmowi wydobyć się z wody. Sługa sprawiedliwości dziękuje mu z prawdziwém francuzkiém ugrzecznieniem za tę przysługę, lecz zarazem oświadcza, iż mimo to wszystko, musi go przecież aresztować. »Ha, co za szkaradna niewdzięczność!« woła szlachetny majtek w gniewie, — trąca zręcznym zwrotem żandarma nazad w wodę, a sam zmyka i nie wraca więcéj aby go ztamtąd wyciągnąć.

Śmiałość rozbójnika włoskiego. Michele Pezza był rodem z jednéj małej wioski w Kalabryi. Już w szesnastym roku swojego życia uciekł z rodzicielskiego domu i przystał do bandy osławionego naówczas Scarpi, który go dopiéro po ciężkiéj próbie przyjął. W klasztorze Santa-Martha znajdowała się mała statua najświętszéj panny z lanego złota, ozdobiona perłami i dyjamentami i nadzwyczajnie przeto wielkiéj wartości, pominąwszy nawet religijną cześć, jaką tamtejsi mieszkańce dla niej mieli. Oddawna już zamyślał Scarpi nad tém, jakby sobie skarb ten przywłaszczyć, ale zawsze na próżno; strzeżono bowiem nieustannie posągu. Byłby się wprawdzie Scarpi nie wahał, opanować mocą statnę, lecz jego towarzysze wzbraniali się wspierać go w tém przedsięwzięciu. Młody więc Pezza otrzymał trudny rozkaz wykradzenia posągu. Przebrał się za zakonnicę i został przyjęty do klasztoru. Najprzód musiał tam trzy dni i trzy nocy pościć. Było to w owéj porze roku, kiedy okoliczni wieśniacy dziesięciny do klasztoru zwozili, co zawsze do późnéj nocy trwało, przez który czas kościoł bywał otwarty. Ze świtem przyjeżdżali chłopi z koszami i wozami, a wieczór, śród powszechnego zamieszania, zakradł się Pezza do kościoła, wyniosł posąg, schował go troskliwie do jednego wozu pod słomę, poczém opuścił klasztor. Zdjąwszy swoje zakonne suknie, zaczekał na wóz w którym święty skarb ukrył, wszczął rozmowę z właścicielem wozu, dowiedział się z któréj jest wsi, i doniósł o tém czémprędzéj swym towarzyszom, którzy natychmiast na wieś napadli i wykradziony posąg uwieźli. — Jednego razu będąc Pezza w Salerno, wstąpił do domu pewnego cyrulika, który właśnie otrzymał rozkaz udania się do jakiegoś znakomitego duchownego i miał wychodzić z domu. Przeprosił więc wstępującego gościa i wezwał go aby się chwilkę zatrzymał, obiecując zaraz powrócić. Ledwie cyrulik wyszedł, nadszedł kapitan karabinijerow, który z oddziałem wojska ścigał osławionego rabusia. Biorąc Pezzę za cyrulika, obrócił się do niego i kazał mu aby go prędko ogolił. Pezza nie chciał się zdradzić przez ociąganie, i zabrał się natychmiast do golenia. Już był przyłożył brzytwę do brody kapitana, gdy prawdziwy cyrulik powrócił z przestrachem nazad do domu i zawołał: »Panie kapitanie, panie kapitanie! Zbój, którego wpan szukasz jest w mieście; widziano go przed chwilą.« Kapitan ucieszył się nadzwyczajnie tą wiadomością, i rzekł: »No, dzięki Bogu! Przecież go raz mamy!« — »Jeszcze nie,« odparł Pezza; »bo w téj chwili on ma ciebie, panie kapitanie, w swym ręku.« Kapitan przeląkł się tak okropnie iż prawie nieżywy, nie mogąc przemówić słowa, wytrzeszczył oczy na rozbójnika, który mu ciągle trzymał brzytwę u gardła i mógł go w każdéj chwili zamordować. Wreszcie, napasłszy się dość długo jego śmiertelną trwogą, która się przy każdém poruszeniu zbójcy wzmagała, darował mu wprawdzie życie, ale związał ręce i nogi, aby go niemógł ścigać. Po skrępowaniu kapitana, wziął się Pezza do cyrulika, który drząc na całém ciele, nie śmiał ani się ruszyć. Poczém ubrawszy się w uniform kapitana, skoczył na jego konia uwiązanego przed drzwiami i uciekł cwałem z miasta.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.